

Jerzy Sulima-Kamiński  
Redakcja Liter. i Report.

Dnia 26.X.1980 r.

Godz. 16.05 - 17.30

Główny Urząd Kontroli Pracy,  
Pensji i Wskazek  
Delegatura w Bydgoszczy  
urzęduje pod adresem: ul. Wolności 10  
80-001 Bydgoszcz

Nakład: 100 Form  
Data: 24 X Podpis: [Signature]

POD KONIEC DNIA

Wpierw poczuł jej zapach. Nie perfumów, nie mydeł, nie kremów. Ten zapach nie miał nic wspólnego z kosmetykami, z drogerią czy w ogóle z chemią. Pachniały jej włosy i biło od nich łagodne ciepło. Poznałby ją po tym zapachu z zawiązanymi oczyma. Była to woń prze poczonego rumianku zmieszanego z zapachem morskiego wiatru.

Nie od razu otworzył oczy. Powracał z dalekiego snu i było całkiem możliwe, że zapadał w inny, równie nieprawdopodobny. Być może, śnił obecność Kamili, jak zdarzało się, śnił swoją śmierć. Jeśli Kamila jest naprawdę, w takim razie spełni się pragnienie jego życia: będzie ona ostatnim człowiekiem jakiego ujrzą jego oczy na tej ziemi.

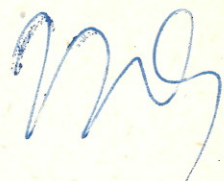

Chłodna dłoń Kamili dotknęła jego czoła.

- Z ojcem coś nie tak...

Spojrzał na nią przytomnie; stała nad nim z miną żalobną.

Do kogo ona mówi...?!



- Tatek?...
- Nic mi nie jest. Spałem.
- Ale...
- Skąd się tu wzięłaś?
- Spadłam z gruszy!
- Ej, Kamilka...
- To nie wiesz, że mam klucz?
- A ja tu, przy telefonie!
- Wolisz mnie przez drucik?
- Jak sesja?
- W normie.
- Oblałaś?
- Mam poprawkę.
- Biologia?
- Nie, z woja.
- 
- 

Machnął ręką. Gorzej gdyby z biologii. Co za pomysł wkładać dziewczętom karabiny do rąk! To zaprzeczenie ich powołania. Rodzić. Niech rodzą. Splunąłby na widok Kamili z karabinem. No, chyba że Ojczyzna byłaby w potrzebie. Wtedy tak, trudno. Ale teraz? Niepowodzenie Kamili wprowadziło go w dobry humor.



Tego się właściwie po niej spodziewał. Radzi sobie ze wszystkim  
co ważne. Reszta po łebkach, aby, aby. Jest w tym podobna do  
niego. Chwył ją za uszy, pociągnął ku sobie i pocałował.

- Wszystko tutaj czeka na ciebie.

Przytuliła się do ojca. Ale na krótko.

- Takęk?

- No?

- Wiesz co?

- Nie.

- A nie będziesz się gniewać?

- O co mam się gniewać?

- Ale nie gniewaj się...

- Co zmalowałaś?

- Ale powiedz, że nie będziesz zły...

- Nie bredź! O co chodzi?!

- Wiesz co?

- Wścieknę się!

- Nie jestem sama.

- Co znaczy, nie jestem sama?!

- O, tam, - wskazała palcem drzwi.

- Co, tam?



- Tam siedzi. W hallu.

- Kto?

- No, on...

- Jaki on?!

- Ten... O Boże, co za dureń! - chwyciła się za głowę i wyskoczyła do hallu. - Wyłaź idioto!

W prześwicie drzwi ukazał się nieśmiały chudy brodac w okularach. Spłowiałe, wypchane na kolanach jeansy skracaly sylwetkę tego młodego starca. Stał w drzwiach w lekkim przykurczu kolan, z ramionami nadnaturalnie długimi, jak u odpustowego pajaca. Emanuel, rażony odruchową antypatią do tego człowieczka ze szpakowatym jeżem na głowie, ze wstrętem przeniósł wzrok na frędzle dywanu. - Szczota - pomyślał nienawistnie. - Szczota. Nie śmiał spojrzeć na Kamilę. Chyba odczuła jego zakłopotanie?

Szczota stał w drzwiach cicho i pokornie, jakby go wcale nie było, jakby się tylko Emanuelowi przyśnił. Obecność Kamili odczuł od razu jako niekwestionowaną rzeczywistość. Tamten był zwidem, mglistym powidokiem ze złego snu. Wpatrzony w dywan, jednocześnie postrzegał parę zakurzonych <sup>aw</sup> mokasyn zsuniętych do siebie czubek w czubek, na baczność. Nie kojarzył tych kapci •



z człowiekiem, który je nosił. Stały w drzwiach, puste i osobne, jakby ich właściciel uniósł się w przestworza albo też lewitował swobodnie poza obrębem domostwa. Emanuel dźwignie się z fotela i wykopie te niczyje chodaki na ulicę. Potem będzie tak jak być powinno, jak bywało zawsze; tylko on i tylko Kamila.

W polu widzenia Emanuela pojawiły się damskie pantofle. Ten lewy tryknął ze złością prawy mokasyn. Tryknięcie popsuło szysk "na baczność". Ustawiły się w pozycji "spocznij".

- No powiedz coś, kretynie!

Mokasyny postąpiły o dwa suwy do przodu.

- Dzień dobry panu...

Emanuel skinął głową,

- Co ja mam panu powiedzieć?... Ka najlepiej wszystko sama panu wytłumaczy...

Emanuel katapultował się z fotela podminowany świętym oburzeniem.

- Ka?!

- Tatek, no, nie bądź głupek, tak? - Kamila z powrotem sadowiła ojca w fotelu. - On się interesuje hinduizmem, nawet ma własną koncepcję hinduizmu. Ja jestem jego Ka, jego Karmanem, rozumiesz? Przeze mnie, powiada, przez moją dobrą obecność,



skończy się ciąg jego dalszych wcieleń. To znaczy, osiągnie nirwanę, czy coś takiego. Ja jestem mu potrzebna do nirwany, rozumiesz? On beze mnie nic nie może, powiada że razem uzupełniamy się w innym wymiarze. Wiesz, coś takiego. Zmodyfikował cały hinduizm i pisze na ten temat pracę. A w ogóle to on jest rolnik drobiarz i właśnie robi docenta...

- Doktorat...

- Mówiłeś że docenta.

- Doktorat.

- No widzisz jak ty kręcisz. Byłam pewna, że robisz docenta.

- Wszystko po kolei, Ka.

Emanuel oczekiwał czegoś w rodzaju prezentacji. Jakoś powinni się przecież poznać. Do Kamili należało przedstawić Szczotę ojcu, obojętnie kim on tam dla niej jest. Ale Kamila myślała o wszystkim, tylko nie o tym.

Nie poznawał swego dziecka. Zachowywała się trywialnie, wręcz prowokacyjnie. Czyżby chciała udowodnić ojcu, że panuje nad sytuacją, zwłaszcza nad tym Szczotą, rozpartym teraz w jego fotelu, z nogą założoną na nogę? Jeśli to właśnie uważała za konieczne udowodnić, znaczyłoby, że jest akurat odwrotnie.



Panowała nad nim sytuacyjnie, bez wątpienia. Ale mogło być i tak, że Szczota miał w sobie tyle siły, by pozwolić jej na to, bez szkody dla siebie. Wyglądał nieporęcznie, niezdarnie nawet. Jego małe, czarne, ironicznie zmrużone oczka ukrywały niejedną charakteriologiczną niespodziankę. Tyle w nim nieśmiałości co i tupetu. Bał się wejść, ale skoro już wszedł, zaraz wszystko wziął w posiadanie. Irytowała go bezczelna, "klubowa" poza Szczoty, wypełniającego swoją niepozorną osobą przestrzeń obszernego fotela. Pełno go było w tym miękkim meblu. Ile też trzeba ~~xxx~~ było nadmuchać w siebie pychy i pewności siebie, żeby wylać sobą fotel jak ciasto formę... Obcesowość, z jaką Kamila traktowała Szczotę, sprawiała mu przyjemność i zarazem budziła najgorsze przypuszczenia. Czyżby to miał być jego przyszły zięć? Nie tak wyobrażał sobie męża Kamili. Komuś takiemu miałby przekazać w darze dorobek całego życia?

Ni stąd ni zowąd przyszła mu na myśl Seweryna. Teraz przydałaby się jak nigdy! Podzielili by między siebie ciężar rozstrzygnięć. Razem weszliby w nową sytuację. Trudny czas przed nim. Sam jeden musi dać mu radę.

Źoczucie osamotnienia, dojmujące aż do bólu. Dwie dusze w tym domu i kot. A on czwarty. Każde z nich osobne i dalekie.



Byłaby lepiej nie przyjeżdżała, Kamila. Lepiej, by pozostała tam dokąd mógł do niej tęsknić. Teraz jest tutaj niepełna, poćwiartowana między tego Szczotę, jego bzdurny hinduizm, hipotetyczny doktorat i wyświechtane jeansy. Jest "Ka" tego niechlujnego gnoma z aspiracjami do mistycyzmu i drobiarstwa.

Kamila krzątała się po salonie na jałowym biegu. Wykonywała czynności pozorne, nieekonomicznie wydatkując energię. Najdłużej drapowała firany, jakby tylko po to tu przyjechała, by ułożyć fałdy firan. Potem długo czesała się przed lustrem pilnie dbając o to, aby żadnemu z obecnych mężczyzn nie spojrzeć w twarz. A potem, w jednym doskoku dopadła kanapy, błyskawicznie zwała pantofle i rzuciła je na dywan.

- Nie rozwalaj się tak! Zanieś torby do mojego pokoju!

- Brawo! - pochwalił ~~się~~ ją w myślach Emanuel. I dodał

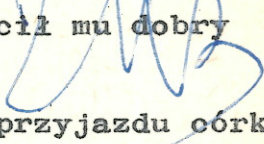
głośno:

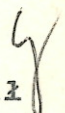
- Piętro. Drzwi na wprost.

Szczota wykonał polecenie bez cienia sprzeciwu. Ale i bez widocznej gorliwości. Jakby to on polecił Kamili aby wezwała go do zanieśienia bagażu. Kamila wybiegła za nim kiedy był już na schodach.

- I umyj się!



- I jeszcze lepiej! - pomyślał Emanuel. Wrócił mu  dobry humor i teraz dopiero szczerze odczuł radość z przyjazdu córki. We dwoje dadzą sobie radę z tym ciałem obcym, Tylko trzymać się solidarnie, w złym i w dobrym.

Przy kolacji Szczota wyglądał już apetyczniej. Zamienił  jeansy na welwetowe spodnie z zamkami błyskawicznymi we wszystkich możliwych miejscach, nawet na nogawce. Zrzucił brudną flanelową koszulę w kratkę o ogólnej tonacji szarej, na czystą flanelową w kratkę o ogólnej tonacji niebieskiej. Było prawdopodobne, że rozczesał sobie brodę. Nic prawie nie jadł. Kolacja była skromna, bo Emanuel wyszedł <sup>z</sup> założenia, że nic jeszcze nie wiadomo i po co w takim razie rozpieszczać szczeniaka. Kamila wymusiła na ojcu dwie butelki Tokaju. Miały być koniecznie te spod czerwonej kreski. Ale Emanuel postawił na swoim i podał najmłodszy rocznik ze swoich zapasów. Dla takiej osobistości jak Szczota najzupełniej wystarczy. Kamila zapaliła świece. Szczota nie musiał używać zapalek. Fajczył jednego papierosa po drugim. Emanuel postanowił wprawdzie oduczyć go palenia, To warunek; nie wpuści pod swój dach faceta i koniec.

Kolacja przebiegała w ciszy i skupieniu, jeśli nie liczyć sporadycznej wymiany nieważnych zdań pomiędzy Kamilą i Emanuelem



Szczota milczał jak nieobecny. Po czwartym kieliszku czknał i powiedział: przepraszam bardzo. Przy piątym czy szóstym otworzyły mu się usta. Przekonywał Emanuela, że hinduizm jest religią przyszłości. Ale nie ten ortodoksyjny wraz ze swymi licznymi odmianami, tylko ta wersja, którą on wykoncypował, Tego właśnie ludzkość potrzebuje. I że jego ojciec ma inkubator na dziesięć tysięcy jaj i poloneza i dom i całą kurzą farmę.

Ojciec już samochodu nie prowadzi, ze względu na początki sclerosis multiplex. Wszystko on po ojcu musi przejąć, tyle że zrobi to fachowo, jest rolnikiem-drobiarzem. Ka właściwie nie musi kończyć studiów. Do pracy przecież i tak nie pójdzie, w domu roboty po pachy.

- Na to nie licz! - naskoczyła na niego Kamila. - Ani myślę być twoim personelem.

Emanuel wstał od stołu, powiedział ochryple: dziękuję. wyszedł. W łazience wziął prysznic i umył zęby. Patrząc w lustro, nie poznawał swojej twarzy. Nie to, że zmieniona. Utracił zdolność identyfikowania się ze swoim lustrzanym odbiciem. - To coś zupełnie nowego - pomyślał bez zdziwienia. - Czuję się jak swój własny nieznajomy. Kto to jest, u diabła, ten smutny pan z czołową łysiną?



W gruncie rzeczy nie był smutny. Ponościła go jakaś bolesna, zapiekła satysfakcja: wszystko toczy się tak, jak to z dawien dawna przewidział. Dialektyka wypadków rozwijała się logicznie i prawidłowo. Pozostanie sam w tym domu wzniesionym dla bliskich. Wzgardzone królestwo na zawsze będzie już puste i zimne. On sam będzie kustoszem muzeum duchów. Konserwatorem wspomnień. Zasiądzie na tym złomowisku nadziei i kruchych pamiątek jak Hiob na kupie popiołu. Ale nie po to, by drzeć szaty ani rozdrapywać rany. Będzie sterczał na rumowisku jak pomnik. Jak obelisk własnego cierpienia.

Wyszedł z łazienki umocniony, nawet pogodny. Na dole w salonie Kamila i Szczota klócili się i grało radio. Ani go to obeszło. Z rozkoszą wpełznął pod kołdrę. Niech się dzieje co chce, niech się biorą za łby, niech się pobierają czy rozchodzą, on wyśpi się jak król. Zgasił światło. Czułe kocie łapki podreptały przez kołdrę; Pinga, ciepła i jedwabna, ułożyła się na jego piersi. Poglądził mrużącą kotkę: dobrze że jesteś. Dobrze że jesteś chociaż ty. - Młodzi ciągle klócili się, ale radio grało głośniej i nie wiadomo już było o co im właściwie szło. Ich kłótnia stała się częścią składową programu radiowego. Był to dobry, przedsenny akompaniament.



Emanuel tonął w tej otulinie szumów, przydźwięków i pokrzyków jak owad w mydlanej pianie. Chciało mu się spać. Spać, spać. I obudzić w innym świecie, albo nie obudzić się wcale. Ale senność stawała na przekór snu. Był w sytuacji człowieka oglądającego na jednym ekranie wiele filmów naraz. W chaotycznym migocie obrazów pojawiały się i gasły sceny zaprzesze, twarze żywe i twarze z zaświatów. Szumiały drzewa dawno ścięte. Kamila tarzająca się ze szczeniakiem na łące. Seweryna w sklepie z zabawkami i ojciec w kruchcie kościoła Klarysek, dobywający z fartucha owe żebracze fenigi. Stary dzięcioł na drabince przeciwpożarowej i kiosk z kremem do golenia i losami loterii samochodowej. Długi kadr z Susie zakładającej na nagie ciało rybackie gumaki, stara Sauerowa niosąca na tacy sparszywiałe jabłka, teściowa podlewająca pelargonie /nigdy nie widział ją podlewającą kwiaty/ i zatroskany Mühlheim badający uszkodzenia karoserii. Stłuczki rzeczywistości jak zgarnięte na łopatę okruchy kryształu, migotały mu w oczach i dzwoniły w uszach.

Nagle jak gorące świder wwierciła się w mózg alarmująca myśl: GDZIE ONI BĘDĄ SPAĆ?! RAZEM? CZY OSOBNO?!



Przysiadł na pościeli, spocony. Pinga sprężystym susem odbiła się od kołdry i zachrobotać pazurami na parkiecie.

Zdawało mu się, że przedrzemał większość nocy, że zaraz powinno świtać. Dom był cichy, uśpiony i nikt już się nie kłócił.

Na fosforyzującej tarczy budzika odczytał godzinę: za piętnaście pierwsza. Dopiero? Ubrał się i wyszedł na taras.

Noc była pogodna i gwiazdna. Przesunął wiklinowy fotel w najzaciszniejsze miejsce tarasu i rozsiadł się w nim z oczami wlepionymi w niebo, już jesienne. Gwiazdozbiór Pegaza odpłynął na zimowe leże, a na jego miejscu pojawiły się nowe, nie znane nikomu konstelacje. - Wszystko ode mnie odchodzi - pomyślał. - Nawet moje gwiazdy. - Przypomniał sobie ów świetlisty punkt niegdyś wyłaniający się z piersi Pegaza pomiędzy Markabem i Scheatem, zdążający na południe, by nagle zmieniając swą trajektornię pod idealnym kątem prostym, pomknąć na zachód. Co to było? Przecież nie meteor, nie kometa i nie astralny bolid? Tamto tajemnicze światło nie pojawiło się już nigdy więcej, choć nieraz wypatrywał za nim oczy w czyste wygwieżdzone noce jak ta. Obserwację tego zjawiska zaliczył do przeżyć intymnych. Może i lepiej, że zagadka nigdy się nie rozwikła.



Mniej rozumieć, więcej odczuwać. Uczucie ponad rozumem; nie dać się ogłupić przez rozum, serce też myśli.

W odległym zakątku tarasu zatrzeszczała wiklinowa ława.

We wnęce za załomem muru, przytulnej i niewidocznej, z miejsca w którym siedział, coś się poruszyło. - Pinga - pomyślał. Pinga przywlokła się tutaj za mną. - Efekt powtórzył się i Emanuel zmienił zdanie: to nie jest kotka.

- Kamila? - zapytał. - To ty, Kamila?!

Nie było odpowiedzi, więc zajrzał do tego trzeszczącego kąta. Kamila siedziała na ławie z podwiniętymi nogami, z piąstkami wsuniętymi w rękawy szlafroka jak w mufkę. Nie poruszyła się na widok ojca. Przysiadł obok niej i objął ją ramieniem.

- Dlaczego nie śpisz?

- A ty?

Nie wiedział co powiedzieć, jak wytłumaczyć jej swoje nocne markowanie na paździenikowym tarasie. Wykręcił się żartem:

- We mnie gdaczą kury. Dziesięć tysięcy jaj! Nie mogłem zasnąć w tym jazgocie.

Oparła głowę na jego piersi.

- Daj spokój, nie wygłupiaj się.

- Kochasz go?



Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To znaczy, będziemy razem?

Znowu zaprzeczyła.

- Nie rozumiem ciebie - powiedział. - Chyba że musisz.

- Nic nie muszę! - zareagowała gwałtownie. - Nie kocham go, nie mam noża na gardle, nienawidzę kur, uwielbiam ciebie i kocham ten dom i odejdę stąd z nim wbrew temu wszystkiemu co słyszysz! Zrobię to na przekór sobie, zrobię, bo muszę zrobić bo siebie samą nie rozumiem nic a nic! O! I teraz już wiesz dlaczego tu siedzę i marznę i wiem dlaczego ty tutaj siedzisz i marzniesz.

- Tak - westchnął. - Rozumiem, dlaczego ty nie rozumiesz...

Ale czujesz przecież, prawda? Powiedz, czujesz?

Odwróciła twarz i spojrzała ojcu w oczy.

- Tatek...

- Tak, dziecko, wiem...

- Naprawdę, tatek...

- Tak, kochana, tak. Wszystko w porządku...

Przez chwilę tulił ją do siebie, jak małą bezradną dziewczynkę. Leżała w jego objęciach potulnie i ufnie. Potem spytał:



- Rozmawiałaś z matką?

- Tak. Dzłoniłam do niej.

- I co?

- I nic.

Wziął ją na ręce i wniósł do mieszkania.

- Zamarzniesz - powiedział. - Trzeba iść spać.

Odprowadził Kamilę na piętro do pokoju. Pocałował ją na dobranoc, nim otworzyła drzwi. Szczota chrapał, rozwalony w poprzek jej panińskiego tapczanu. Cicho wśliznęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

- - - - -